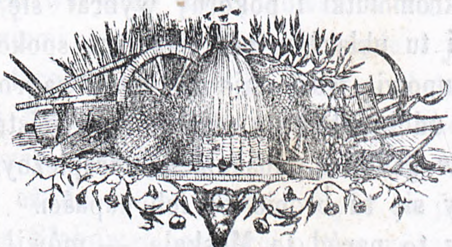
Tom IV. Nr. 12.

21. Kwietnia. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt August,

II. Dalszy jego żywot i śmierć.

Het na północnej stronie ziemi polskiej, powyż Litwy i Żmudzi, jest kraj niewielki co go zowią *Inflanty*. Owóż do tego kraju, tak jak Krzyżacy do Prus, przywlekli się Niemcy mnichowie, i na piękne się rozsiedli; a że im się dobrze powodziło, i już ich zgoła owies kłuł w zęby, tak też w owem szczęściu zapomnieli na prawą wiarę Jezusa Chrystusa, i przeszli na lutrów. Więc z tej przyczyny dużo tam było obrazy boskiej, co owi lutrowie wymyślali na naszych katolickich księży; bo gwałtem im się zdało przeciągać naszych ludzi na swoją ladajaką wiarę.

Trafiło się, że Arcybiskupem w Inflantach był cioteczny brat naszego króla Augusta; z tym się więc spierał najstarszy z owych lutrów, a wnet przyszło do wojny, gdzie Luter pojmał naszego Arcybiskupa, i wsadził go do więzienia.

Jak się tylko dowiedział o tem król Zygmunt August, takci zbiera zaraz wielkie wojsko na Litwie, i sunie do Inflant, aby tam

przytrzeć trochę rogów swawolnemu Niemcowi. Jakoż najstarszy mistrz owych mnichów nie wyczekiwał już naszego wojska, bo mu aż zimno po plecach chodziło, na samo wspomnienie takiej siły, aleć skromniutki i pokorny wybrał się do obozu naszego Augusta, i tu ukląkł, a przysiągł już spokojnie się zachować, i Arcybiskupowi wszystkie krzywdy nagrodzić. Tak też nasz dobry król udobruchał się ową pokorą mistrza, a owszem weszedł z nim w gadkę o Moskalach, drapieżnych sąsiadach, i obaj radzili jakby się tu bronić od ich napaści.

— Straszny to naród te Moskale — mówił mistrz niemiecki do naszego króla — ale już co najstraszniejszym to sam ich *car Iwan*. Co ten okrutnik nazabijał, natruł, albo głodem zamorzył ludzi, to aż straszna rzecz wspominać. Do tego już przyszło, że jakby źwierz jaki drapieżny każe po dwadzieścioro ludzi na dzień brać na męki i strasznie mordować, a naród jak trwożliwe owce od bojaźni drzy i patrzy się tylko na te zbrodnie. Owoż i ja się lękam—mówił mistrz dalej — żeby też ów drapieżny zwierz i na mój kraj nie napadł.

Nasz król August dawał dobrą otuchę mistrzowi niemieckiemu, i tak rozjechali się w zgodzie. Aliści ledwie król wrócił do siebie, napadł car Iwan Inflanty, spustoszył kraj mieczem i ogniem, a samego mistrza wziął do niewoli, i w więzieniu go zamorzył. Więc widząc to nowy mistrz, że się takim drapieżnym sąsiadom nie obroni, prosił naszego króla Zygmunta Augusta, coby Inflanty do polskiej ziemi przyłączył, i miał je w swojej opiece. A że nasi radzi byli zawsze udzielać pomocy chętliwym, skoro tylko po przyjaźni do nich przyszli, więc i mistrza inflantskiego nie odesłali z kwitkiem. Tym sposobem zostały Inflanty już przy polskiej ziemi, choć o to potem była nie jedna turbacja i bitwa, jak nie z Moskalem to z Szwedem.

Wróciwszy król do kraju, przesiadywał sobie w Litwie, bo mu ta część królestwa z młodych lat najulubieńszą była. Owoż siedząc tutaj, przyglądał się z uwagą wszystkiemu nasz dobry August, i widziało mu się niesprawiedliwie, że w innych częściach królestwa większe są wolności i lepsze całe urządzenie jak w Litwie, gdzie wszystko po staremu zostało. Tak więc zwołał król wielki sejm do miasta Lublina, bo sobie postanowił

wszystko tak wyrównać, aby już każdy widział, że Litwa a Polska to jedno.

Siła różnych ludzi zjechała się na ten sejm do Lublina, a tu dopiero zaczęli wszystko porządkować w ten sposób, żeby w całej polskiej ziemi, jednaka wolność była i jednakie prawa. Dużo tam było targów i kłótni, bo Litwin obstawał przy swojem, a Mazur i Rusin także przy swojem; choć w końcu pogodzili się wszyscy, i podpisali pismo, gdzie była wyrażona zgoda i braterstwo aż do samej śmierci. Była to już ostatnia walna sprawa, Augusta. Słabował nasz król potem, różnemi strapieniami i turbacjami zwątlały, a gdy wypadł znowu sejm we Warszawie, i król tam jechał, choć już mocno słaby, więc prawie na granicy Litwy i Mazowsza w miasteczku *Knyszynie* zapadł tak mocno na zdrowiu, że już nie mógł dalej się ruszyć.

Było to 1572 roku. Król zbiedzony i wynędzniały leżał na pościeli, a nie pomagały mu już żadne leki i żadne doktory. I wspominał sobie August na swoje młode lata, boć właśnie tutaj do tego samego Knyszyna chętnie na łowy wyjeżdżał, i na koniku zdrów i czerstwy uganiał. A teraz nie słychać myśliwskiego rogu, smutne stoją dęby po niezmiernych kniejach, i cichy wiater żałośnie liściem szeleści i wróży smutek całej Polsce.

Oj wywróżyłeś wietrze, wywróżyłeś! Niedługo męczył się król schorzały, a wnet oddał Bogu ducha, spokojny o swój żywot wieczny, bo wiele dobrego po sobie zostawił w całej polskiej ziemi.

W ciężkim smutku zjechali się panowie do Knyszyna, i wieźli ztąd ciało zmarłego króla na krakowski zamek, gdzie w okazałych kaplicach grzebiono wszystkich królów polskich. Prawdziwie królewski odbył się tu pogrzeb. Strapienie było wielkie po całym kraju; bo nie tylko, że takiego króla dobrego zabrał pan Bóg do siebie, ale i potomka żadnego nie zostawił coby się mógł dalej osieroconym opiekować krajem. Za marami szła tylko siostra króla Anna, i siła płaczącego ludu, boć to grzebano ostatniego pana z rodu Jagiełłów, z których tyle dobrych i bogobojnych królów rządziło tą naszą ziemią jedyną.

Pieśń do św. Wojciecha.

(Na nutę, jak: Kto się w opiekę.)

Święty Wojciechu Polaków patronie,
Tyś pierwszą gwiazdą na polskiej koronie.
Choć ziemia czeska na świat cię wydała,
To ziemia polska tak cię ukochała,
Że cię przyjęła jak syna dobrego,
Uznając w tobie patrona przyszłego. —
Byłeś pasterzem dobrym, miłosiernym,
Dla chłopków ojcem i doradzcą wiernym,
Cały majątek niosłeś im w ofierze,
I utwierdzałeś w chrześcijańskiej wierze.
Jako Apostoł pierwszy w pruskiej ziemi
Burzyłeś bożki słowami boskiemi,
Niejedną duszę między poganami
Zyskałeś niebu swemi naukami.
Pogańska ręka życie ci odjęła,
W kawałki ciało twe święte pocięła,
A krew twa święta przyniosła zysk taki
Że później wiarę przyjęli Prusaki.
Król zwiózł twe ciało do Piastów stolicy,
Do miasta Gniezna, blisko od Kruszwicy,
Kmiotki je wzięli na swe polskie ręce,
Złożyli w złotej kosztownej trumience.
A odtąd Gniezno jest miastem żałoby,
Tam polskich królów tam i świętych groby;
Tam też kmieć polski, pan, król i cesarze
Chodzą na odpust niosąc serce w darze.
Święty Wojciechu przyczyń się za nami
W naszej niedoli twojemi modłami;
Abyśmy Ojców trzymali się wiary
I nie skąpili dla biednych ofiary,
Za dobro braci byśmy życie dali,
Dla ich zbawienia chętnie krew przelali,
A potem z tobą w Niebie królowali,
I wraz z świętemi Boga wychwalali! Amen.

Ks. Wojciech z Medyki.

Zagroda.

Wszędzie dobrze ale doma najlepiej! Niejeden z was moi mili chodził między obcymi, napatrzył się i nadziwił różnym pięknym rzeczom, ale wiem żeby mu tam przecie zostać się nie chciało, ani nawet w Italji, choć to mało gdzie tak pięknej ziemi jak tam. Nieraz oczy gapiły się na piękności, ale w sercu to się tam myślało o chacie ojców, choć okopconej, gruszy przed domem, to o miłym sąsiedzie: i człek modlił się gorąco w duszy żeby czem prędzej do nich wrócić, a kiedy list przyszedł od rodziny, to się go prawie jadło oczami. I cóż to tak człowieka ciągnie do ojczyzny, do domu? Oto ta dziwna jakaś miłość jaką Bóg dał człowiekowi, miłość do ziemi, na której się człowiek urodził i uchował, i do ludzi, między którymi żył. A ta ziemia i ci sąsiedzi to nasza ojczyzna.

Ludzie tacy co mają jedną ojczyznę, mają także jedną mowę, bo Bóg już tak chciał, aby ludzie, co mają żyć ze sobą razem, mogli się także rozumieć; a innym to dał znowu inne mowy aby się nie mieszali ze sobą, i nie wydzierali jednemu to co się drugiemu należy. Między obcymi człekowi nudno i smutno, bo chociaż co boli lub cieszy, to tego obcym ludziom wypowiedzieć nie umiesz, bo cię nie zrozumieją, a choćby i zrozumieli to nie znają ani ojców twoich, ani rodziny twojej, ani ziemi twojej, więc ich też nic nie obejdzie, co dla ciebie jest najmilszem. Toteż każdy człowiek lgnie do ojczyzny jak ryba do wody!

Popatrzcie jeno na biednego górala, kiedy za zarobkiem zejdzie na doliny, to taki nieswój a tak się wciąż na góry ogląda, jakby się bał że mu one uciekną tymczasem; bo góral kocha swoje góry choć w nich głodno i chłodno. I każdy człowiek kochać powinien swoją ziemię, a chyba by już Boga w sercu nie miał, żeby inaczej myślał.

Za młodu to się tam człekowi wydaje, że wszędzie by mógł żyć i byłoby mu dobrze, ale później niejeden gorzko zapłacze zdala od własnej ziemi i od ziomków. Popytajcie jeno

Marcinka Oboda, co w naszej wsi mieszka, a nagada się wam tak, że choćbyś był kamienny tobyś się musiał rozbeczeć.

Posłuchajcież! Marcinek był sobie walny a łepski chłopak i najtęższy w całej wsi. Do roboty jedyny, do bitki gotowy, półkwaterka za kołnierz nie wylał, a do tańca i do zalotów nogi i serce się rwało. Ale w głowie było pstro, ot zwyczajnie jak u młodego, i nie zagrzał długo miejsca: to się na furmanki wyrywał, to po jarmarkach i odpustach jeździł, a doma nigdy długo nie siedział. Ojciec stary chciał mu już dać grunt i namawiał go do żeniaczki, by na stare lata odpocząć przy Marcinku, ale Marcinek zawsze:

— Ej poczekajcie tatusiu, jeszcze mi tam czas do żeniaczki i do gruntu, może mnie pierwej na wojaka wezmą!

— A mój Marcinku, coby cię zaś mieli brać, toć ty jedynak, a ja stary: toby chyba ci ludzie Boga w sercu nie mieli, żeby cię wzięli odemnie.

— Ej nie gadajcie, nie gadajcie —mówił Marcin — czy to źle być wojakiem czy co? Ta to człowiek siła świata obieży i napatrzy się różnościom, że jest potem na całe życie co opowiadać jak ano Maciek, co mu się nigdy gęba nie zamknie, a i honor między ludźmi inszy jak człowiek z cudzych krajów przyjdzie, a jeszcze grosz uzbierany pokaże.

— Co też ty gadasz Marcinku! I ty byś miał sumienie zostawiać starego ojca, opuszczać rolę, w której by nie było komu pracować?

Marcinek zadumał się, i żal mu się zrobiło ojca, ale wnet pomyślał: Tatuś niepróżny trzos mają w skrzyni, to się pieniądz na najemnika znajdzie, a że mnie kilka lat nie zobaczy, to mu tam nie wiele ani pomoże ani zaszkodzi. Tak myślał Marcinek i zawsze tak się stało, że ojciec swoje a on swoje.

Raz był na wieczorynku u Maćka, przysłuchiwał się jak ów opowiadał o Italji i to co widział a więcej jeszcze tego co nie widział, i tak go wzięła chęć do drogi, że całą noc potem spać nie mógł jeno myślał jakby się tam dostać. Przyszła mu nareszcie myśl, żeby się sam zaciągnął do wojska. Taki wartogłów jak Marcinek niedługo się namyślał; poszedł do miasta i został wojakiem. Trzeba wam było widzieć jak ojciec starowina

rzewnemi zanosił się łzami z żalu, że go jedyne dziecko opuszcza na starość, i Marcinek sam wyrzekać począł, że źle zrobił, że bez woli ojca wstąpił do wojska, ale już było po niewczasie. Pułk, w którym Marcinek służył, wymaszerował daleko, więc i on musiał iść za pułkiem.

Dużo lat minęło, i w świecie i we wsi dużo się odmieniło. Stary ojciec ze smutku za synem i z ciężkiej pracy rozniemógł się i umarł, a zapisał Marcinkowi grunt i chałupę. Ksiądz proboszcz napisał o tem śliczny list do Marcinka, i kazał mu wrócić. Marcinek wrócił, ale dziwnie się odmienił. Gadał ni to po polsku ni po niemiecku, że sąsiedzi ledwie mogli wyrozumieć czego chce od nich, a na chłopów z góry poglądał i nosem kręcił.

— Oj nie tak tu wygląda jak tam gdzie ja byłem—mawiał. Więc też gromada krzywo patrzeć zaczęła na Marcinka urlopnika i widocznie stroniła od niego, i nikt z nim nawet półkwaterka wychylić nie chciał. To też Marcinek sam pijał w karczmie, i z żydem nie po polsku szwargotał, i klął gromadę i wygadywał na nią co się zmieściło. A mądry Icek mu przytakiwał i mówił: — Ot! bydło nie rozumie się na niczem. Wielmożny panie kapralu, to szkoda żyć między takiemi chamami, co godnego człowieka uszanować nie umią.

Marcinowi trafiła do smaku ta mowa karczmarza, i odtąd częściej go nawiedzał i późną nocą wracał z karczmy, pijany i klnący na sąsiadów. A że roli mało przypilnował toteż i nie urodziło mu w polu. Zmartwił się tem i poszedł na zmartwienie do karczmy pić, a przy półkwaterku nuż lamenty przed żydem rozwodzić:

— Ej nie ma to jak wojaczka! Djabli człekowi przyjdą z tej roli, pracuje człek, morduje się, a tu nic z tego nie przyjdzie.

Arendarz dolewał półkwaterek i mówił:

— Że też to panu kapralowi chce się z jego delikatnem zdrowiem pracować na roli, jakby to już wielmożny pan kapral nie był zdolny do czego innego.

— Ha, cóż robić — mówił Marcinek dobrze już podchmielony — tatuś nie zostawił pieniędzy (licho wie gdzie ich podzieli) jeno gruntu trochę i chałupę, to trzeba żyć z tego jak można.

Żyd zrobił jeszcze grzeczniejszą minę, poprawił mycki i przysunął się do Marcinka:

— Jakto, tatuś nie zostawił pieniędzy? Przecie grunt i chałupa, to także pieniądz na dzisiejszy czas, gdyby pan kapral chciał sprzedać...

— Sprzedać mówisz?—i spory łyk wódki pociągnął jakby chciał zalać sumienie co mu gadało: nie daj się skusić — sprzedać mówisz, to prawda, ale ktożby to chciał teraz kupić?—

Arendarz zatarł ręce, uśmiechnął się i prawi:

— Możeby się i znalazł kupiec, jabym go sam nastręczył.— I żydówka wyszła z alkierza, przysunęła się do Marcinka i nuż mu radzić nuż go namawiać; ale Marcinek choć pijany nie miał odwagi sprzedać domu, gdzie go urodziła matka jego, i gdzie skonał ojciec jego; coprędzej wyszedł z karczmy do domu.

W domu Marcinka nie było już tak jako ongi za czasów ojca. Dawniej zagroda była zasobna we wszystko, a teraz wszystko się postarzało, poopalało, a Marcinkowi nie chciało się nic pracować i ponaprawiać. I w izbach było czarno, pusto, bo co było sprzętów to wyniósł do karczmy. A choć sprzętów brakło, to żyd i tak dawał na burg.

— Będziesz ta odbierał — mawiał do siebie nieraz Marcinek i śmiał się z głupiego żyda, ale głupi żyd śmiał się jeszcze bardziej z mądrego Marcina i nie raz szwargotał do żony:

— Jaki to głupi ten Marcin, chałupy sprzedać nie chciał, ale wódkę bez pieniędzy pije, i jak tak jeszcze z miesiąc potrwa, to i pieniędzy nie dam a chałupa będzie nasza.

Lecz Marcinkowi ani w głowie nie było, że z każdem półkwaterkiem pozbywał się coraz więcej swej chaty, i pił wciąż, bo po pijanemu to mu się jakoś weselej w świecie widziało. A bywało że nietylko sam pił, ale i innych parobków ciągnął ze sobą: bo — mówił — u Icka wódka nic nie kosztuje.

Oj, nie tak mówił potem, kiedy arendarz na św. Michał przyniósł mu cały spis jego długów i powiedział, że mu dłużej czekać nie będzie; Marcinek wypchał żyda za drzwi i pobił jeszcze, ale ów poszedł do sądu i zaskarżył urlopnika osobno o pieniądze, osobno o pobicie. Z początku Marcinek nadrabiał

mina, ale potem stracił fantazję i nuż chodzić po sąsiadach, by mu pożyczyli pieniędzy dla żyda. Ale jaki taki pożałował, ale pieniędzy nie dał, bo każdy bardziej rad sobie, a i tak Marcinka we wsi nie lubili. Więc też Marcinek proces przegrał i jednego dnia przyjechał komornik z żandarmami i wyrzucili Marcinka z ojczystej zagrody, a karczmarz jeszcze tego samego dnia przeprowadzał się do niej.

I wyszedł Marcinek dziadem ze wsi, gdzie jego ojciec był zamożnym kmieciem, wyszedł z niej z małym tobołkiem a uciekał prędko, bo go wstyd było popatrzeć w oczy sąsiadom.

Różnie mu się działo w świecie i źle i dobrze, ale więcej źle, bo mało ludzi coby dobrego więcej mieli na ziemi niż złego. Był i stróżem w mieście, i służącym, i pędził życie z dnia na dzień, ale nie był to już ten wesoły i raźny Marcinek, za którym dziewki oczami rzucały. Posmutniał biedaczysko, a ciągle jeno w ziemię patrzał, tak się bał i wstydził ludzkiego wzroku. Lecz nie na tem się skończyło. Marcinek zachorował, z litości oddano go do szpitala. Chorował długo i ciężko, a tu ani znajomej twarzy koło jego łóżka, ani pociechy dla niego. I gdy tak leżał, śniło mu się raz, że przyszedł do niego ojciec jego i mówił mu:

— Oj Marcinku, czemu ty nie konasz w ojczystej zagrodzie między swojemi!

I śniło mu się jeszcze, że się zobaczył w swojej chałupie. Leżał na słomie, a nieboszczka matusia coś mu gotowali na kominie. Więc mu się zrobiło w duszy bardzo błogo, że się to już nie tuła między obcemi; przebudził się i czuł się znacznie zdrowszym. Ale nie zobaczył w koło siebie ani ścian rodzinnej zagrody ani matki ni ojca. I tęskno mu się zrobiło jak nigdy jeszcze za tą chatą, co ją tak bez żalu rzucał. Więc jak go tylko puszczono ze szpitala, tak zaraz wziął kij i poszedł ku rodzinnej wiosce, a po drodze mówił:

— Choćbym miał służyć u żyda, to mi zawsze milej będzie żyć w chacie gdziem się urodził, i umrzeć.

Jak mówił, tak zrobił. Żydowi trzeba było parobka, więc przyjął Marcina, bo i tak bieda była o służących we wsi.

Wstyd było Marcinowi, że na to jego poniżenie patrzą ci,

co go bogatym znali; a kiedy wspomniał sobie jeszcze, że on parobkiem u żyda w swojej własnej chałupie — to się chciał pod ziemię schować z boleści. Więc stronił od ludzi, zdziczał i patrzał z pod oka. Ale raz, kiedy w polu robił, nadszedł ksiądz proboszcz, pochwalił pana Boga i nuż z Marcinkiem w gawędkę, a zawsze kierował ku temu, zkąd też Marcinek na taką biedę przyszedł, że aż za parobka służyć musi. Gadał ksiądz i gadał, a z każdem słowem to jaśniejszy był wzrok Marcinka, za każdem słowem proboszcz go za serce chwytał, więc się rozbeczał i nuż proboszczowi sumitować się, że on bez rodzinnej zagrody żyć nie może, że służyć musi, żeby nie umrzeć z głodu. Ksiądz proboszcz stał nad nim i myślał o czemś długo, i aż pod wieczór się rozeszli. Długo potem nie słyszał Marcinek nic o proboszczu, aż jednego dnia przybiegł po niego kościelny z plebanji. Poszedł Marcin, ale jakże się zdziwił, kiedy zastał u proboszcza starszych gromady i samego dziedzica, którego dość nie lubił. Ksiądz proboszcz przyszedł wtedy ku niemu i rzekł:

— Źle zrobiłeś Marcinie żeś chudobę ojców oddał w ręce cudze. Wstyd to nietylko dla ciebie ale i dla gromady. Dlatego więc gromada złożyła się tu na ciebie jak mogła, a dziedzic dołożył resztę, abyś mógł znowu wrócić do ojczystej zagrody. Ale pierwej przyrzeknij tu gromadzie, że będziesz żył uczciwie i spokojnie, że będziesz pracował pilnie.

Marcinek się wypłakał, dziedzica i starszych gromady za kolana ściskał i niedługo potem poszedł do spowiedzi, a inny odtąd zaczął prowadzić żywot. Wprawdzie było tam jeszcze dużo zachodu, bo się arędarz z chałupy nie skoro ustępował, ale koniec końcem Marcinek grunt i chałupę dostał napowrót, i dzisiaj jest jednym z najporządniejszych gospodarzy we wsi. Na jego dachu komin, przed domem ogródek, w domu porządek aż miło. Ale wspomnij mu tylko o cudzych krajach to ci zaraz powie:

— Ej, siedziałbyś człeku jak grzyb w trawie, a nie mówił, że gdzieindziej lepiej jest jak u nas.

Wszędzie dobrze, doma najlepiej! Oj najlepiej! i co nasze to dobre a co obce to djabła warte.

Stach.

Ciekawy Wojtuś.

Gołębie.

Ledwie że pan majster gębę po jedzeniu utarł, już Wojtuś zaczął skakać koło stołu, i nuż prosić ojca, żeby mu co rychlej o owych gołębiach w *Ameryce* opowiedział.

— Ho, ho, w gorącej wodzie kąpanyś mój chłopcze! — zawołał Walenty — pozwólże mi choć odsapnąć po jedzeniu; opowiadanie i tak ci nie ucieknie.

Wojtuś chwycił ojca za rękę:

— Mój tatusiu, bo ja też muszę iść do szkoły za godzinę, a kto wie jak to długo potrwa.

Pan Walenty nałożył sobie fajeczkę, zapalił węglem z pod komina i usiadł:

— Ha to siądźże sobie i ty koło mnie, a słuchaj — rzecze do Wojtusia, i dalejże w ten sposób:

— Najprzód musisz wiedzieć, że owe gołębie o wiele są silniejsze od naszych, tak jako to bywa, że każdy zwierz co sobie na wolności pod okiem Boskiem żyje, silniejszy jest i zdrowszy od tego, co się przy ludziach chowa. Ztąd też będąc całe silniejsze, mają tamte gołębie szybszy lot od naszych, bo są w stanie przelecieć dziesięć mil na godzinę; przytem wzrok mają nad podziw doskonały, a z wysoka już lecąc, widzą ziarna i inne pożywienie na ziemi. Nieprzejrzanemi gromadami latają te gołębie z jednego miejsca na drugie za pożywieniem; jak się czasem ruszy taka chmura, to jej na milę szerokości będzie, a jak się spuści na ziemię, to zalega całe pola i niezmierne lasy. Możesz sobie też wystawić, co to gołębie wojsko jadła potrzebuje, i jak wszystko objada po tych miejscach kędy się spuści.

Odetchnął trochę pan rymarz, i tak mówił dalej:

— Każde stworzenie ma swego nieprzyjaciela na tej ziemi, mają go też i owe gołębie w *Ameryce.* Są to jastrzębie czarne, które gonią za całemi gromadami i napastują je w locie. Lecz nato mają gołębie swoje sposoby: a tak gdy ujrzą czarnego jastrzębia za sobą, to się zbijają do kupy i dopiero przyspieszają lotu,

a raz spuszczają się niby na ziemię, to znowu wzbijają się do góry że ich ledwo widać: i tak długo sobą w tę i ową stronę rzucają, dopóki jastrzębia nie zmylą, albo też tak nie zmęczą że daleko po za niemi zostanie.

Trafia się, że takie stada gołębi mają swoje ulubione miejsca kędy przesiadywać lubią; zwykle więc wylatują na cały dzień szukać sobie żywności, a pod noc wracają znowu do swego siedliska.

Tu przerwał znowu Walenty; podniósł się z siedzenia i poszedł do szafki, gdzie było za szkłem kilkanaście książek.

— Czy to już koniec? — zapytał Wojtuś smutnym głosem.

— Zaraz mój chłopcze — rzekł pan rymarz wracając z książką w ręce — resztę ci przeczytam, co o tych gołębiach pisze taki, który tam był, i wszystko na własne oczy widział.

Wojtuś klasnął w ręce z radości, a Walenty zasadził okulary, i w ten sposób czytał z owej książeczki:

„Zwiedziłem raz miejsce spoczynku gołębi. Była to najpiękniejsza część lasu, w której drzewa wyrosły do znacznej wysokości na pniach prostych i oddzielnych; nie było tam żadnej gęstwy, która by mogła lot utrudniać. Przebywszy znaczną część tego lasu, mało spostrzegłem gołębi, ale mnóstwo myśliwych na koniach, z wozami naładowanemi bronią i prochem. Urządzono obozy w miejscu, gdzie się spodziewano najwięcej gołębi. Dwaj dzierżawcy przypędzili z okolicy trzysta świń, ażeby je w krótkim czasie zabitem ptactwem utuczyć. Najwięcej zdziwiła mię wiadomość, że gołębie przylatują z okolic co o sześćdziesiąt mil oddalone, aby tylko w tym lesie noc przepędzić, nie zważając na myśliwych i na śmierć jaka ich tu czekała. Jakoż widać że tu często nocowały, bo cała przestrzeń owego siedliska bieliła się od gołębiego pomiotu.“

„Zbliżyła się pora łowów; wszyscy myśliwi byli gotowi, każdy wedle naznaczonej sobie powinności. Jedni nieśli siarkę w żelaznych garnkach, inni byli opatrzeni w żerdzie, lub tłuste smolaki sosnowe. Pierwsi myśliwi mieli po dwie i trzy strzelby.“

„Słońce już zaszło, a jeszcze żadnego ptaka nie było widać. Nagle ozwały się głosy: Już lecą! Szum, jaki zbliżając

się czyniła owa chmura gołębi, był podobny do świszczącej burzy; kiedy przelatywały ponad moją głową, uczułem jakby silny wicher. Wnet od strzałów padło tysiące ptaków, pomimo to stado zwiększało się coraz bardzej. Ognie ze wszech stron zapalone oświecały ten straszny i wspaniały widok. Miljony gołębi przybywały jeszcze, cisnęły się jedne na drugie, jak pszczoły podczas rojenia; gałęzie łamały się pod ich ciężarem i padały wraz z niemi na ziemię, a spadając druzgotały znowu inne gałęzie i siedzące na nich gołębie. Wśród tego gwaru, trzasku i zamieszania, napróżno było odzywać się do sąsiada, bo choćbyś i krzyczał, to krzyk się gubił zupełnie. Czasem tylko słychać było wystrzały myśliwych.“

„O północy dopiero przestały się gołębie zlatywać na to miejsce. Polowanie trwało aż do białego dnia. Gdy świtać zaczęło, odezwał się znowu szum i łoskot: całe stado podniesło się do góry, lecąc znowu w swoją zwykłą drogę. Ledwo tam było znać, że cały las zarzucono zabitemi ptakami.“

Przestał Walenty czytać, złożył książkę i zaniósł ją na swoje miejsce. Wojtuś siedział jak niemy z podziwu; pan rymarz przystąpił i poklepał go po ramieniu:

— Widzisz Wojtusiu jak to różnie bywa na tym szerokim świecie. Pan Bóg co krok to inne drzewa i zwierzęta, narody i obyczaje stworzył, zaco niech Mu będzie chwała na wieczne czasy!

Wojtuś zerwał się z ławki:

— Ale to już czas będzie do szkoły — zapytał ojca.

— Prawie druga godzina — rzecze Walenty — idź, idź mój chłopcze, a ucz się, żebyś to wszystko później umiał co ja ci opowiadam, lecz żebyś umiał lepiej odemnie, boś jeszcze młody i masz chęć do pracy.

Wojtuś pocałował ojca w rękę, zabrał książki i wybiegł do szkoły, a pan Walenty wrócił do swego warsztatu.

Grześ z Mogiły.

GOSPODARSKA POGADANKA,

O warzywach.

— Dziwno mi że wy tylko jadacie groch, kapustę, kluski, kiedybyście mogli cały rok jeść najpiękniejsze ogrodowiny, i w jadle tak odmieniać jak i ci co w miasteczkach mieszkają, byleście tylko sami chcieli. — Tak mówił pleban w Bułkowie do Wojciecha, spotkawszy go w polu, gdy szedł do kapusty i narzekał, że mu ją gąsienice do ostatka zjadły.

— Ej, tak się to dobrodziejowi zdaje; któż może to jeść czego nie ma — rzecze Wojciech.

— Właśnie też to chciałem powiedzieć — mówił pleban — jako w tem chybiacie, że sobie nie chcecie przysposabiać lepszego jadła niż zwykle.—I wdał się też dalej ksiądz proboszcz z Wojciechem w rozmowę, a tak mu mówił o chodowaniu jarzyn :

— Bardzo łatwo każdy w swym ogrodzie czy kapustniku, przysposobić sobie może na cały rok nietylko kapusty, marchwi, brukwi, ale nawet selerów, cebuli, różnych rodzajów grochu, ogórków, buraków, szpinaku, czerwonej i niebieskiej kapusty, a nawet kalafiorów, iżby w niedzielę czy święto, mógł się przecie czem lepszem uraczyć, jak zwyczajną strawą. O to tylko chodzi, aby pracy i kilku groszy na nasienie nie żałować, i dzieci przypilnować aby pełły i podlewały. Gospodyni także miałaby czas zatrudnić się ogrodem, gdyby gospodarstwo z bydłem było lepsze: bo nie trzebaby jej tracić pół dnia nad szukaniem trawy dla krowy. Jeno zważać trzeba na to, żeby ogród nie zabierał tej mierzwy, co ma iść na rolę, bo to rolnikowi robi krzywdę; należy się przeto tak urządzić, aby mierzwy coraz więcej było a wtedy o ogrodzie pomyśleć.

Wysłuchał Wojciech wszystkiego, a wreszcie poskrobał się w głowę i rzecze :

— Mój Jegomościuniu, kiedy to siła zachodu wedle tego, dużo też trzeba różnego naczynia, a nato człeka nie stać choćby chciał z całej duszy.

— Wymawiacie się byle czem — odezwał się pleban —

a to wszystko jeno mało dobrej woli, bo wam się lepiej widzi leżeć do góry brzuchem na słonku, jak kopać grzędy w ogrodzie. Robicie tylko tyle aby z głodu nie umrzeć, ot tak byle z dnia na dzień pociągnąć z żoną i dzieciskami. Całe naczynie do ogrodu to jest: rydel, grabie drewniane, a jak lepsze to żelazne, parę motyk do ogrzebywania, taczki do zwożenia gnoju, konewka do polewania, wreszcie sznur do robienia bruzd i zagonków. Ot, tyle świecy i wosku! Do tego jak gospodarz zręczny a pracowity, to sobie połowę tych rzeczy sam potrafi zrobić. I tak rydel wystruga ładnie i gładko, a znajomy kowal okuje mu go mocno i nie drogo. Tak samo też z grabiami i innem narzędziem; można w domu zrobić, a nietrzeba wielkiego na to majątku. Zresztą porządny gospodarz choćby nie miał ogrodu, to siła z tych narzędzi w domowem gospodarstwie potrzebuje: bo też grabiami można wygrabać barłog z podwórza, liść na jesień w sadku, mech na łąkach, ścierniska na polu, a to wszystko przymnoży mierzwy i słańska; zaś motyki popotrzeba do ziemniaków, do wytępienia zielska, a taczkami można sobie zwieść mierzwę, darń z pod płotów, i muł z rowów na omastę ziemi, i tak z każdem innem a narzędziem.

— Jeno zkąd czasu na to wszystko mój dobrodzieju — ozwał się zaturbowany Wojciech. — A choćby i czas, toć człowiek nie nauczny we wszystkiem...

Ksiądz proboszcz przerwał turbacje gospodarz mówiąc:

— Mój Wojciechu macie czworo dzieci, dwóch chłopców już sporych, dwie dziewuszki mniejsze, to nie ma co narzekać, gdzie pan Bóg dał tyle rąk do roboty. Najstarszemu każcie kopać, młodszy może się wziąść do grabi, a dziewuszki chętnie wezmą się do konewki podlewać w skwarne dnie warzywa i kwiatki. Miło potem będzie dzieciom patrzeć, jak się wszystko pięknie zieleni i rośnie jak na drożdżach w ogródku, który codzień skrapiają i podlewają. Miło będzie dziewczętom ustroić się w niedzielę w kwiatki, co za ich staraniem rozkwitły; miło będzie chłopcom jeść rzepę i marchew z własnego ogrodu.

Co zaś do tego, żeś nie nauczny mój gospodarzu, to bajka! Każdy człowiek uczy się od urodzenia aż do samej śmierci, a dużo się nauczy jeśli mu się chce tylko. Żebyś się zaś i ty mój

Wojciechu nie miał czem wymawiać, to przyjdę wieczorem do was, a powiem wam szeroko o każdej jarzynie z osobna, jak się z nią obchodzić. Zostajcież z Bogiem, do wieczora!

— Panu Bogu oddaję!

RÓŻNOŚCI.

Jak car Iwan groźny posły przyjmował. Że to car Iwan w tym samym czasie Moskalami rządził, jak dobry Zygmunt August naszą polską ziemią, więc wam tu opowiem, jak on okrutnik z posłem sobie raz postąpił.

Trafiło się, że pewien kniaź moskiewski imieniem *Kurbski* wojował z Polakami i przegrał bitwę; a że był w służbie u cara Iwana, więc myśli sobie: — A pocóż mi wracać, chyba po śmierć jedną! —Tak pomyślawszy zabrał ów kniaź nogi za pas i hajda do Polski.

Przyjął go nasz August otwarcie i gościnnie, że mu zgoła i ptasiego mleka nie brakło, więc kniaź skoro był bezpieczny, myśli sobie: poczekaj ty poczwaro jedna, ty carze Iwanie! Muszę ja ci napisać, żebyś aż w piętach poczuł!—Tak też pomyślawszy wziął kawałek papieru, pisze, pisze, i napisał carowi, że go pan Bóg srogo ukarze po śmierci, że będzie siedział w smole wrzącej po uszy, za wszystkie swoje zabójstwa i okrucieństwa. Jak też napisał, tak zawołał wiernego sługę, a list mu oddaje, i do cara z nim jechać każe.

Stareńki, jak gołąb siwiutki sługa zabrał pisanie, pojechał, i zajechał aż na dwór Iwana. Groźny car siedział na pysznym tronie, a w około bili mu słudzy pokłony głowami. Więc ów sługa stary przystąpi i list podaje, a oczami mierzy w cara oczy: — Zkąd ty? — zawołał Iwan groźny. — Od kniazia Kurbskiego list przynoszę—rzecze sługa. Car zesiniał i zezieleniał od złości, wyrwał list z ręki starego i rozerwał pieczęcie. A miał w ręce laskę grubą w ostre żelazo okutą, więc gdy go wściekłość przy czytaniu pisma owego porwała, tak oparł ową laskę o bosą stopę stareńkiego sługi, i zaczął w niej wiercieć jak w drzewie. Zgrzytnął starowina z bolu, czuł jak mu się kości rozchodzą, ale z pogodnem czołem i jasnem okiem spoglądał na ponurego cara. I był ten sługa wówczas większy od tego pana choć w koronie, bo wyższą jest zawsze czysta niewinność od drapieżnej złości. A car gdy spojrzał na staruszka, schmurzył się, spuścił oczy, i dał mu iść wolno.

Jak to z skowronków złe bywa jedzenie. Nie mają tam w Niemcach takiego poszanowania dla bożego ptactwa, jak u nas. Czy śpiewa czy nie śpiewa, to złapie, chrast po gardle, i dalej na pieczyste. Niezbyt dawno atoli, ukarał pan-Bóg Niemców za takie łakomstwo.

Pewna rodzina upiekła sobie aż ośmnaście skowronków, i zjadła ze smakiem; aleć niedługo potem żarłoki owe takiego dostały bolu w żołądkach, że gdyby nie dobry doktor, to by im było przyszło het na tamten świat wędrować. Później dopiero pokazało się, jaka ku temu przyczyna. Skowronki żywią się pod jesień ziarnami z lulku, blekotu i innych podobnych roślin, co człowieka na miejscu otruć może, a owym ptaszynom nic nie szkodzi. Niechże więc panowie Niemcy skowronków nie jedzą kiedy mają co innego, bo *nie dla psa kiełbasa, ni dla kota sadło*, ani dla człowieka takie ptaszę, co chwałę panu Bogu śpiewa.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.